



ROZDZIAŁ 2 FUCK-UP

Niestety narobiłem sobie kłopotów. Po raz pierwszy we wzorowej dotąd karierze. Siedzę w służbowym samochodzie, który pędzi przez Williamsburg Bridge. Za plecami mam Manhattan, w uszach głos Munity, w głowie jej ciało, a przed oczami olbrzymi świński kark kierującego wozem Radovana. Jego głowa stanowiłaby wyzwanie nawet dla bardzo dużego kalibru. Słońce wisi nisko nad Manhattanem. Drapacze chmur rzucają długie cienie na gładką taflę rzeki.

– Będę za tobą tęsknić, kotku – szepcze ze swojego biura na dwudziestym szóstym piętrze Trump Tower. Dwa lata temu zaczynała na parterze. Wszystko osiągnęła sama, bez niczyjej pomocy. Taka właśnie jest moja Munita. Nie można jej nie lubić. W głosie ma coś z Hinduski, ale akcent, bez dwóch zdań, z Peru. Jej matka pochodziła z Bombaju i to dzięki niej Munita ma cudownie oliwkową skórę. Za ten jeden miękki dotyk człowiek byłby gotów wybrać się na biegun północny wózkiem golfowym. Z George’em W. Bushem za kółkiem.

– Ja też – odpowiadam, który to już cholerny raz zastanawiając się, czy mój angielski jest w stu procentach poprawny. Chyba jednak mam rację. Ja też będę za sobą tęsknił. Będę tęsknił za moim pięknym życiem w tym pięknym mieście.

Jestem na wygnaniu. Muszę na jakiś czas zniknąć. Co najmniej pół roku. Na bilecie mam wydrukowane: Nowy Jork – Frankfurt – Zagrzeb. Plus podpis Dikana. Skruszony wczółgam się pod maminą spódnicę z pistoletem w zębach. *I fucked up.* Spierdoliłem, mam. Albo ktoś spierdolił. Zlecenie numer 66 było niewypałem. Nie zrozumcie mnie źle. Klient dostał kulkę czysto, sucho i pewnie, ale musiałem ostro kombinować w związku z tym, co stało się później. Niepozorny wąsaty Polak okazał się wąsatym agentem FBI. Dziecinnie proste zabójstwo w biały dzień okazało się nocnym koszmarem. Zabrałem ciało klienta na wysypisko w Queens, wyrzuciłem na stertę podróbek lewisów i po krótkiej ceremonii pogrzebowej przykryłem jego szpetną głębę postrzępionym parasolem z logo Pepsi Max. W drodze do samochodu zauważyłem kilku kolesi, którzy spóźnili się na ekologiczny pogrzeb swojego przyjaciela. Moje stare chorwackie serce przestroiliło się z dostojnego walca na death metal. Odwróciłem się szybko i przez następne dziesięć minut biegłem niczym plotkarz na olimpiadzie dla puszystych, kierując się cały czas w stronę rzeki i przedzierając przez hałdy odpadów, które Nowy Jork zawdzięcza jakimś sześciu tysiącom nuklearnych rodzin. W końcu znalazłem schronienie w przeżartym rdzą kontenerze wypełnionym starymi pluszowymi misiami z nadwagą, które na dodatek śmierdziały pieczonym serem. I to właśnie z nimi przyszło mi spędzić noc, bo federalne menty zabezpieczyły teren w promieniu kilometra. Była to bezsenna noc pod znakiem panoramy Manhattanu, zimnego kontenera i zalatujących serem pluszaków. Zapach jedzenia działa na pusty żołądek jak damskie perfumy na wygłodniałe przyrodzenie.

Ranek przywitał mnie pięknym widokiem świateł wydobywających z mroku siedzibę ONZ – okno po oknie – odbijających się na pofalowanej powierzchni East River. Do wschodu słońca było jeszcze daleko. Pomyślałem sobie, że każde państwo na ziemi ma tam swoje biuro, w którym światło automatycznie włącza się dokładnie w tym samym czasie, kiedy słońce wschodzi nad jego odległymi granicami. Tej nocy obejrzałem sto pięćdziesiąt sześć wschodów słońca. Pierwsze promienie sto pięćdziesiątego siódmego